

Moje prywatne bóstwa

Kiedyś mnie uczono, nie zaglądać do lustra. Bo tam diabeł siedzi. A tam byłam przecież ja. Dzisiaj, gdy tam zaglądam, szczerzę zęby w szerokim uśmiechu i mówię do siebie: Cześć, zaba. Może nie jesteś (jeszcze) święta, ale jesteś okej. Czasem składam sobie nawet ukłon. Moje uszanowanie. Witam Panią. Zapraszam do biurka. Jest już na nim świeca i włączony komputer. Zaraz dojdzie jeszcze aromatyczna herbata. Niech Pani pozwoli. Szarmancko odsuwam sobie krzesło.

Mam też w domu mały ołtarzyk, a każde spojrzenie na niego dodaje mi siły, odwagi i spokoju. Co tam stoi na tym ołtarzyku? Do jakich bogów się modlę jako zażarta feministka? Co zostało mi z religii, z mojej dziecięcej wiary?

To nie jest tak, żeby nic. Pozostało mi bardzo dużo. Pozostała mi chyba esencja, to, co najbardziej pożywne. Tą esencją karmię się jeszcze i dzisiaj, chociaż trudno mi znaleźć miejsce dla siebie w kościele, u oficjalnego stołu Pańskiego.

Do religii uciekałam się w dzieciństwie i wczesnej młodości, była ona – podobnie jak przyroda – enklawą spokoju i miłości. Kościół był moim drugim, a może nawet pierwszym domem, był moją ojczyzną, co najmniej od czasów Pierwszej Komunii Świętej, a już zwłaszcza w okresie dojrzewania. Był ucieczką od codzienności, w której nie czułam się bezpiecznie. W niedzielę, przeważnie sama, biegłam na mszę, siadałam w jakimś kątku, wzruszałam się pieśniami ludu o Czarnej Madonnie, zapachem kadzideł, dzwoneczkami zwiastującymi podniesienie. „Panie, nie jestem godna, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”, szeptałam gorliwie, zapraszając do siebie Jezusa. Płakałam, patrząc z balkonu kościoła, jak mój mały braciszek w granatowym garniturku przyjmuje Pierwszą Komunię Świętą. Cały kościół śpiewał wtedy: „Nie zabraniajcie im przychodzić do mnie...” O tak, to wzruszało mnie najbardziej. Dzieci przychodzące do Pana Jezusa, do dobrego taty. Na szczęście nikt mi nie zabraniał przychodzić do niego, do tego łagodnego Pana z długimi włosami, w sukni, tak bardzo niepodobnego do naszych bardzo męskich wujków i tatusiów. Dać mu się pogłaskać po główce – wizja najwyższego szczęścia. Być przez niego zaakceptowaną taką, jaką się jest. Bez podejrzeń, pogroźek, kontroli, kar.

Przyjmując komunię, starałam się naprawdę poczuć w sercu Boga, poczuć, że to wielkie święto, przeżyć mistyczną jednię i pełnię. Także i poprzedzająca komunię spowiedź nie sprawiała mi problemu, wracałam z niej, frunąc niemal, czysta i nieskazitelna. Prosty rytuał uruchamiał wyobraźnię, po spowiedzi widziałam siebie jako białego anioła szybującego nad ziemią. Bardzo głęboko przeżywałam rytuały oczyszczenia, przeżycia jedności z boskością, nowego narodzenia. Obojętne, co działo się w domu czy w szkole, tylko Bóg widział mnie taką, jaką jestem, widział mój obraz prawdziwy, nieskrzywiony,

nie posądzając mnie o kłamstwa, nie przeszukiwał moich szuflad, nie stosował przemocy, nie wymagał najwyższych osiągnięć, dawał mi ciągle nową szansę, kochał. Świadomość tej miłości wystarczała za wszystko. Oprócz Pana Jezusa czciłam także Najświętszą Marię Pannę Zawsze Dziewicę. Codziennie miałam przy sobie jej obrazek, całowałam go przed snem, modliłam się do niej. Między innymi o wsparcie w moim dążeniu do świętości i w tym, żeby uczynić świat nieco lepszym. Maryja była matką spokojną, nie hektyczną, nie zmęczoną, mądrą. Spefnioną. Spoczywała w sobie, wiedziała, kim jest, nie rozrywało jej tysiące sprzecznych pożądań, nigdzie się nie śpieszyła. Spokojnie przygarniała mnie do swojego serca. Była. Nie patrzyła na mnie podejrzliwie. Nie bała się niczego. Tak, ustawiono ją w cieniu mężczyzn, ale jej blask przebijał się i z cienia, jej korona lśniła jak gwiazda.

W swoim malutkim pokoiku urządziłam sobie wtedy mały ołtarzyk za zasłoną, na taborecie. Położyłam na nim modlitewnik i święte obrazki, powiesiłam nad nim pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej. Klękałam tam, gdy było mi źle. Gdy były kłopoty w domu, gdy chłopak gruntownie złamał mi serce. Stworzyłam swoją świętą przestrzeń. Należał do niej także szeroki parapet, na którym siadywałam, żeby patrzeć na piękną topolę, oglądać zachody słońca i czytać *Anię z Zielonego Wzgórza*. Bo moją Biblią była właśnie *Ania*. Ania Shirley to była moja święta, zaraz po Matce Boskiej. Królowa Życia. Pełna fantazji, kochająca życie i ludzi, odważna, niekonwencjonalna, dowcipna, inna niż wszyscy, inna bez żadnej pozy i bez najmniejszego wysiłku. Biblii nie czytałam wtedy, nie wtajemniczano nas w nią raczej w kościele, przed Komunią Świętą uczyliśmy się przede wszystkim różnych przykazań na pamięć. Postać Matki Boskiej była cudowna, ale dość abstrakcyjna. Ania żyła w świecie trochę bardziej podobnym do mojego, mogłam ją sobie wyobrazić i mogłam ją naśladować. Była dziewczynką, potem kobietą pełną godności, radości życia, humoru, twórczej energii. Prawdziwą osobowością. Niepokorną, ale pełną miłości i współczucia. Czytałam wszystkie tomy *Ani* bez opamiętania, raz po razie, w sumie kilkadziesiąt razy. Spałam z *Anią* pod poduszką. Do moich ksiąg świętych należał także *Duet* o Klarze i Robercie Schumannach – opowieść o świętej miłości przeciw całemu światu i o życiu dla sztuki. I jeszcze *Kto mi dał skrzydła* o Janie Kochanowskim – o tym, jak stał się poetą. Wszyscy ci moi prywatni „święci” szli za głosem powołania. Usłyszeć głos powołania to usłyszeć głos Boga, myślałam.

Do moich świętych ksiąg zaliczam także *Małą księżniczkę*, książkę o dziewczynce, która potrafiła zachować godność w najtrudniejszych warunkach, której ucieczka w świat fantazji pomogła przetrwać najgorsze upokorzenia, która nigdy nie utraciła radości życia i dobroci. Mała Księżniczka, Królowa Ania – to były moje święte, taka chciałam się stać. Wzorem dla mojej córki stał się wiele lat później na jakiś czas *Harry Potter*, znowu archetyp „boskiego dziecka”, tułającego się po świecie. Bo wszystkie te „dzieci boże” nie wychowują się u „normalnych” rodziców, tułają się po świecie, zanim usłyszą ten przebijający się przez codzienne hałasy boski głos. Ania, Sara, Harry Potter. Mesjasze różnych religii. Wspaniała scena z filmu o Harrym Potterze, kiedy ze szkoły czarodziejów przychodzą do niego listy. Tysiące listów wzywających Harry’ego do

internatu dla czarnoksiężników zalewa skrzynkę Dursleyów – tego głosu nie da się zignorować, on jest silniejszy niż wszystko.

Wielu z nas czuje się w domu rodzinnym jak podrzucone, dziwne dziecko nie wiadomo skąd, brzydkie, nierozpoznane kaczątko. Dla mnie otuchą było, że rozpoznaje mnie Bóg. Wiedziałam, że pójdę za jego głosem i że ten głos jest ważniejszy od głosu i przestróg domowników. Gdyby Jezus słuchał rodziców, zostałby cieślą – zdaje się, że tak powiedział około sto lat temu angielski lekarz Edward Bach, twórca terapii esencjami kwiatowymi.

Taka była moja religia. Początkowo umiałam ją połączyć z chodzeniem do kościoła, z czasem coraz mniej. W momencie, kiedy życie moje wzięło obrót przekraczający granice wyznaczone przez kościół, zrobiło się to coraz trudniejsze. W rozmowach ze mną księża byli bezradni, nie umieli mi pomóc, bali się życia, bali się kobiet, bali się mnie i działającego we mnie może szatana? Przekonywali o tym, że chrześcijaństwo jest jedynie słuszną religią. Nie umieli czy nie mogli mnie zrozumieć. A może nie trafiłam wówczas na tych właściwych. Czasem przechodząc obok kościołów w Polsce, przez otwarte bramy słyszałam retorykę politycznej manipulacji, ubezwłasnowolnienia, retorykę zastraszania, grożenia, szantażu, uproszczonego działania na emocje. Coraz bardziej zaczynał dokuczać mi fakt, że osoby po rozwodzie, żyjące w nowych związkach nie są dopuszczane do sakramentów. Stosunek kościoła do środków antykoncepcyjnych. Ogólne zakłamanie wierzących w tej kwestii, biegających do kościoła, a i tak robiących swoje. Zaczęło mi przeszkadzać także to, że na wielkich uroczystościach kościelnych w szpalerach dostojnie ubranych dostojników stoją wyłącznie mężczyźni. Dlaczego kobiety nie mogą być księżmi? Gdybym jeszcze raz się urodziła, chciałabym być kapłanką. Byłby to najpiękniejszy zawód, jaki mogę sobie wyobrazić, łączący duchowość, zaangażowanie społeczne, interpretację pism i własną twórczość... A celibat, w moim mniemaniu, powinien być dobrowolnym wyborem pewnej drogi do duchowej doskonałości, nie przymusem.

W Niemczech zaczęłam czytać Junga, potem Kühna, Drewermanna, Utę Ranke-Heinemann. Także Anselma Grüna, ojca benedyktyna, który stał się moim duchowym przewodnikiem. Zaczęłam czytać religię kluczem symbolicznym, doszukiwać się we wszystkich religiach wspólnej prawdy ponad podziałami, z dala od wszelkiego fanatyzmu, dosłowności, demagogii. W niemieckim kościele katolickim znalazłam więcej szacunku dla wiernych niż w naszych kościołach, więcej troski o nich, autentycznej pomocy. Wiernych traktuje ich się tu jak ludzi dorosłych, oferuje im wiele możliwości wspólnego spędzania czasu, nauki, rozrywki, pogłębienia życia duchowego. Katolicy niemieccy wydali mi się mniej zakłamanymi, katolicyzm mniej ludowy, nie odwołujący się tylko do prostych emocji, lecz także do intelektu, intuicji, oparty na wnikliwych interpretacjach Pisma, przywiązujący większą wagę do zaangażowania społecznego. Spodobało mi się, że dziewczynki mogą być tu ministrantkami – i robią to z wielkim zapałem. Ale i niemiecki katolicyzm jest dla mnie w obecnej formie trochę zbyt zimny i abstrakcyjny, pozbawiony aspektu zmysłowego. W wielu kościołach polskich, przy-

najmniej w Szczecinie, nawet na znak pokoju ludzie zazwyczaj tylko się sobie kłaniają, pozostają sztywni i zdystansowani, rzadko podają sobie dłoń. To już większą jedność i miłość przeżywam podczas niektórych koncertów rockowych... W kościołach protestanckich coraz częściej organizuje się w Niemczech koncerty jazzowe, łączy dalekowschodnią medytację z praktykami modlitwy chrześcijańskiej.

Jedność i pełnię przeżywam dzisiaj zwykle podczas medytacji praktykowanej z kilkoma współuczennicami i z mistrzynią jogi. Lubię, gdy przed medytacją nauczycielka uderza w misę dźwiękową, a brzmi to jak dzwoneczki przed podniesieniem. Lubię, gdy się kłania aż do ziemi. Gdy mówi o drodze do świętości, pomaga otworzyć czakramy, otworzyć serce na przyływ boskiej energii, poczuć miłość w duszy i ciele. Ta „kapłanka” naprawdę nad sobą pracuje, inaczej bym jej nie uwierzyła i nie pozwoliła się prowadzić. Chyba wiem, po czym poznajemy fałszywych proroków. Są zbyt zawzięci w tym, co robią. Brak im lekkości i poczucia humoru, odrobiny dystansu do samych siebie. Brak im pokory. A po czym poznajemy świętych? Oczywiście po aureoli. Ale i po tym, że dosyć chętnie robią nawet rozliczenie podatkowe. I nie oceniają bez przerwy wszystkiego, co im stanie na drodze.

Dążę więc jakoś tam po swojemu do świętości, ale nie pojmowanej już tak naiwnie, jak wtedy, gdy byłam nastolatką. Język religii, a zwłaszcza mistyki, nadal do mnie bardzo przemawia. O ile łączy się z wysiłkiem, codzienną praktyką przewycięzania naszych granic i destrukcyjnych skłonności, o ile nie kończy się na pustym, modnym ezoterycznym „bla bla” i prestiżowych wyjazdach do Indii. Pewnie, można wyjeżdżać, ale nie jest to ani warunkiem, ani automatyczną gwarancją rozwoju.

W domu niedawno znowu urządziłam sobie ołtarzyk, na którym stoją moje świętości. Powiesiłam tam ponownie poczciwy, zakurzony, kiczowaty obrazek z Pierwszej Komunii Świętej, Jezusa głoszącego dzieci. Obyśmy nie przestali być dziećmi bożymi, myślę sobie, dziećmi z największą ciekawością witającymi każdy dzień, znajdującymi czas na zabawę, na bezinteresowną twórczość, radość.

Nad obrazkiem powiesiłam różaniec. Ten różaniec stał mi się święty, gdy trzymając się go jak poręczy, modliłam się po tragicznej śmierci obu moich kuzynek. Modlitwa odmierzana paciorkami różańca pomaga mi, gdy ktoś bliski wybiera się w podróż (czy to na tamten świat, czy gdzieś bliżej), w momentach, kiedy chcę dla kogoś coś zrobić, jakoś pomóc, lecz jestem bezsilna. W ten sposób daję sobie jakąś sprawczą moc. Czasem palę w kościele świecę za bliskich. Pierwszego listopada palę w domu mnóstwo świeczek za zmarłych z rodziny i innych, którzy są mi drodzy.

Na moim ołtarzyku nie brak oczywiście i dzisiaj Matki Boskiej. Maryja to kobiecy pierwiastek boskości, matka Ziemia, wszechogarniająca miłość, otwarte serce, spokój, twórcza moc, rodzenie – nawet bez pomocy mężczyzny, bo dziewica nie potrzebuje go koniecznie. Jezus reprezentujący męski pierwiastek boskości łagodnie prowadzi, wskazuje drogę, towarzyszy w tej drodze. Oboje dają mi poczucie bezpieczeństwa. Chociaż to w sumie matka i syn – dla mnie są bogiem i boginią, męską i żeńską stroną Boga, symbolicznymi rodzicami, którzy sprawiają, że jest mi w świecie dobrze, że świat staje

się gniazdem, a śmierć traci swoją przerażającą moc. Z kolei święty Józef jest dla mnie pragmatycznym aspektem męskości, równie ważnym jak pierwiastek duchowy. Byśmy umieli urzeczywistniać naszej intuicji duchowe, realizować idee, iść za naszymi pomysłami, wcielać je w życie, materializować, ktoś musi (najlepiej my sami) zatroszczyć się także o materialne, pragmatyczne, codzienne podstawy sukcesu. Zawód cieśli jest tu dobrym symbolem. Natomiast patronką codzienności uczyniłam panią Małgorzatę Linde z *Ani z Zielonego Wzgórza*, gospodynią domową. Maryja i Jezus reprezentują raczej to, co duchowe, ideał, pomysł, energię, miłość, misję, Józef i Małgorzata przyziemną pracę, która musi być wykonana, aby słowo stało się ciałem.

Postać Jezusa fascynuje mnie także jako archetyp wielkiego uzdrowiciela i buntownika. Jezus sprzeciwia się różnego rodzaju biurokracji czy dosłowności, również w życiu religijnym. Uzdrawia w szabat. Ratuje kobietę przed ukamienowaniem. Mówi do paralityka, człowieka zablokowanego: Weź swoje łożo i idź. A więc i ja mogę wstać o własnych siłach, wziąć pod pachę swoje troski, kłopoty, katastrofy i z nimi pod pachą iść.

Co mam jeszcze na ołtarzyku? Oczywiście poźółkłe tomy *Ani z Zielonego Wzgórza*, bo Ania Shirley łączy w sobie element idealizmu z codziennym pragmatyzmem. Oczywiście *Duet*. Kilka pachnących świeczek. Stary rysunek mojej małej córeczki, brązowy konik pasący się na zielonej łące. Natchnione wiersze Rilkego. „Wer seid ihr? [...] Frühe Geglückte, ihr Verwöhnten der Schöpfung, Höhenzüge, morgenrötliche Grate aller Erschaffung – Pollen der blühenden Gottheit, Gelenke des Lichtes, Gänge, Treppen, Throne, Räume aus Wesen, Schilde aus Wonne...” Czy ktoś kiedyś piękniej pisał o Aniołach?

Niedaleko od ołtarzyka, choć nie bezpośrednio na nim, zdjęcia rodziców.

Gdybym miała, postawiłabym jeszcze na swoim ołtarzyku wodę z Lourdes. Wzrusza mnie cztertnastoletnia święta Bernadeta i jej wizja Matki Boskiej. Wzrusza mnie, że tej małej dziewczynki wysłuchał w końcu nawet kościół.

Mój prywatny ołtarz przypomina mi, kim jestem, kim chcę być, jaką wybrałam tożsamość. Nad obrazkami Maryi z dzieciątkiem Jezus powiesiłam wielkie bijące serca namalowane przez moją córkę. Obok postawiłam figurki małych aniołków. Jest tam wszystko to, co chciałabym uwewnętrznić, czego chciałabym dopracować się w sobie, aby poczuć się na świecie bezpiecznie.

Poczuć się bezpiecznie to nie znaczy zapaść w marazm duchowy. Bo staram się pamiętać także o tym, że Bóg od nas czegoś wymaga. Przede wszystkim odwagi, czasem walki, na pewno nie tolerowania oprawców i krzywdzicieli, bo w ten sposób ich demoralizujemy. Wyciągnąć miecz i zawalczyć o innych czy o siebie samą nie oznacza pozbyć się miłości i współczucia. Naiwna dobrotliwość i pozwalanie innym na wykorzystywanie czy gwałcenie nas – to nie jest dobroć ani świętość.

Próbuję rozpoznać Boga na co dzień. Praktykować szczodrość i otwarte serce, transformować ból w siłę, wypuszczać powietrze z dętek zazdrości i zawiści, szukać lepszego napędu do działania. Walczyć o wolność i samostanowienie, kierować swoim losem. Bo tylko to uwalnia od depresji, daje siłę do działania.

Brak mi jeszcze konkretnych rytuałów na różnego rodzaju święta. Chciałabym wypełnić je głębszą treścią duchową, niż nauczyła mnie nasza kultura. Chciałabym przeżywać je jako święty czas. Boże Narodzenie, symbol triumfującego wśród największych zagrożeń życia, odrodzenia się nadziei podczas tułaczki. Prowadząca królów i pastuszków Gwiazda. Stajenka, w której zaklęty jest wszechświat, ludzie i zwierzęta. I Wielkanoc, symbol zmartwychwstania. Jakże ważny dla nas na co dzień. Jeśli świadomie i mądrze przeżyjemy cierpienie, to przekujemy je w zmartwychwstanie.

Umieć i ucztować, i pościć, i tańczyć, i pracować, żyć w sposób nieskomplikowany, zredukować swoje potrzeby do tego, co najważniejsze. Zachowywać miarę. Oduczyć się zniewalających nas nawyków, świadomie i uważnie wybierać to, co mądre, to, co wybrałyby święta. Ale taka święta z odrobiną szaleństwa. Przyziemna i szalona jednocześnie. Uprawiająca ziemię i wzlatująca do chmur.

in: Pogranicza, nr. 3 (92) 2011, s. 31-38
© Brigitta Helbig-Mischewski / www.helbig-mischewski.eu